

Jaka będzie Kuba po Fidelu?

2 lipca 2012

Fidel Castro dobiega biologicznego końca. Czy na Kubie przetrwa jego ustrój? Przedstawiam obszerną analizę na ten temat.

CUBA SEMPER FIDELIS?

31 lipca minie sześć lat od dnia, w którym Fidel Castro oświadczył w kubańskiej TV państwowej, że musi poddać się poważnej operacji onkologicznej i dlatego czasowo ceduje władzę na swego młodszego o pięć lat brata Raula. Dla wszystkich zabrzmiało to jak dzwon historii. Człowiek, który od prawie pół wieku kontrolował osobiście niemal każdy aspekt życia na wielkiej wyspie, wydaje się docierać do swego biologicznego końca. Mimo, że Fidel przeżył tę operację i od kilku lat cieszy się względnie dobrym zdrowiem, na Kubie, która jest jednym z ostatnich państw praktykujących ustrój socjalistyczny, rozpoczął się proces przemian, który nieubłagane prowadzić może już tylko w jednym kierunku.

Nie jest to jednak proces szybki ani jednoznaczny. Raul Castro, który formalnie objął na Kubie urząd prezydenta w lutym 2008, a pierwszym sekretarzem partii (PCC) został w kwietniu 2011, poczynił pewne ustępstwa zwłaszcza w sprawie przekazywania znacznej części gospodarki w ręce prywatne i usunął wiele z wcześniejszych ograniczeń. Wypuścił 130 więźniów politycznych i podpisał ONZ-owską deklarację praw człowieka, czego jego brat nie chciał zrobić przez 30 lat. Można już głośniej narzekać i śmielej dyskutować. Ale nadal jedyną legalną partią może być PCC, o wyborach innych opcji nie ma mowy i Kuba nie odejdzie od praktyki tzw. wiz wyjazdowych dla swoich obywateli, czyli nadal nie pozwoli im na swobodne podróżowanie, co Raul wielokrotnie powtórzył.

Reformy gospodarcze, ujęte w 313 lineamientos (wytycznych)

przyjętych na VI Zjeździe PCC w kwietniu 2011 są wdrażane ostrożnie i powoli, z uwagi na opór betonu w partii i w administracji. Nie mówi się zresztą o reformas, ani tym bardziej o transición, bo to się kojarzy z pierestrojką i upadkiem ZSRR, a to wciąż wywołuje nerwową czkawkę u starszych towarzyszy z KC. Używa się raczej terminu „actualización del modelo”, co przypomina wietnamską ‘renowację’ (doi moi) sprzed 25 lat. Tu także dopuszcza się do przedsięwzięć ‘czynnik pozapaństwowy’ oraz spółdzielczość. Oznacza to jednak, że na Kubie rodzi się sektor prywatny.

Raul często powtarza, że jego celem jest sprawić, by socjalizm kubański stał się procesem nieodwracalnym i społeczno-gospodarczym samograjem. Gospodarka będzie nadal oparta na planowaniu, a nie na rynku, zaś koncentracja własności pozostanie tabu. Bardzo uważa, by w niczym nie zaprzeczyć otwarciu swemu bratu. Każde przemówienie Raula jest naszpikowane cytataми z Fidela, który pozostając w swego rodzaju stanie pół-spoczynku w swojej rezydencji w Siboney, na zachód od Hawany, jest jednak lojalnie konsultowany w każdej ważniejszej sprawie. Nie naciska już jednak na guziki i rzadko odzywa się w sprawach krajowych, choć regularnie publikuje swe analizy i przemyślenia geopolityczne, często zresztą kompetentnie i niegłupio.

Kiedy w roku 1991 upadł ZSRR wielu obserwatorów zaczęło odliczać dni reżimu Castro na Kubie. Od roku 1960, kiedy USA wprowadziły embargo wobec wyspy, Kuba żyła na kroplówce ogromnych, regularnych subsydiów i radzieckiej pomocy wojskowej. Dzięki nim wytrzymała eksperymenty gospodarcze Fidela, który do połowy lat 1970. miotał się między koncepcją forsownego uprzemysłowienia, a planem uczynienia z Kuby monokulturowej „cukiernicy świata” (azucarera del mundo), którą przecież nie była nawet w czasach kolonialnych.

Gwałtowne wycofanie pomocy ZSRR było dla Kuby katastrofą. W latach 1989-1993 jej gospodarka i PKB zapadły się o 35%. Przyciśnięty do muru Fidel wprowadził stan wyjątkowy, tzw.

„okres szczególny w czasie pokoju”. Otworzył wyspę dla zagranicznych inwestycji i masowej turystyki, zalegalizował małe gospodarstwa rodzinne i użycie dolara USA. Ale wkrótce potem znalazł sobie nowego protektora: prezydent Wenezueli Hugo Chavez zaczął zaopatrywać Kubę w tanią ropę naftową. Umowa przewidywała, że będzie to transakcja wymienna: w zamian Kuba przysłała do Wenezueli 20 000 lekarzy, trenerów sportowych, nauczycieli i instruktorów bezpieczeństwa (w obu krajach mówi się po hiszpańsku). Wkrótce potem pojawiły się także duże kredyty dolarowe z Chin.

Tak zasilany Fidel znowu zhardział. W roku 2004 dolar amerykański przestał być legalnym środkiem płatniczym na Kubie. Wiele prywatnych firm, także obcych inwestorów, zamknięto. Stary wódz zainicjował nową „Bitwę o idee” wysyłając w teren całe armie młodzieży pobieżnie przeszkolonej jako propagandyści i pracownicy społeczni. Rewolucja wróciła.

Tym razem Raul obiecuje jednak, że się już nie cofnie. Reformy będą następowały sin prisa, pero sin pausa (bez pośpiechu, ale i bez przerw). Kiedy przejął władzę z rąk brata działał ostrożnie, bo w kierownictwie partii zawrzało. Ku powszechnemu zdumieniu w 2009 usunął Carlosa Lage, postrzeganego jako reformator, który kierował gospodarką od czasu „Bitwy o idee”. Usunął też młodego ministra spraw zagranicznych Felipe Perez Roque. Obaj zostali oskarżeni o skorumpowanie władzę i przyłapani na krytykowaniu braci Castro. Tow. Lage został nawet nagrany, gdy mówił o nich jako o fosiles vivientes (żywych skamienielinach). Zmiana jest też trzecia zmiana personalna: 81-letni Jose Ramon Machado Ventura, beton stalinowskiego typu, został mianowany zastępcą Raula.

Bo Raul to przecież też nie liberał. On i Ernesto Che Guevara, słynny argentyński lekarz i awanturnik, który po opanowaniu Kuby wyjechał szerzyć rewolucję do Boliwii i tam zginął w 1967 roku, należeli do najbardziej ortodoksyjnych marksistów w ścisłym kierownictwie armii brodatych rebeliantów, którzy obalili zgniły proamerykański reżim Fulgencio Batisty w 1959.

Od tego czasu, aż do roku 2008, czyli przez 49 lat Raul był na Kubie ministrem obrony i trzeba mu przyznać, że pełnił te obowiązki znakomicie budując godną podziwu armię, która sprawdziła się także przy eksporcie rewolucji do Afryki. Znając swą kadrę w armii, Raul cichutko usunął do dziś prawie wszystkich ministrów i doradców Fidela zastępując ich oficerami, przeważnie byłymi, z których większość jest z wykształcenia inżynierami. Ekipa Raula to wojskowi technokraci.

Fidel rządził Kubą niemal ręcznie i bezpośrednio, poprzez swą niezaprzeczalną charyzmę i potężne ego. Skupił w swych rękach całą władzę, brylował publicznie, brał we wszystkim bezpośredni udział: narzucił utopijny egalitaryzm, sam wymyślał i realizował ryzykowne eksperymenty społeczno-polityczne. Raul jest młodszym bratem pod każdym względem: skromniejszy, z natury i doświadczenia bardziej polityk gabinetowy niż wiecowy, lubi delegować władzę i przydzielać zadania, a także umie budować do nich zespoły zadaniowe. Woli czyny od słów, nie lubi przemawiać, od razu w 2006 zlikwidował ulubione przez Fidela słynne reuniones a las cuatro (spotkania o 16:00). Jest trzeźwym Sancho Pansą przy romantycznym Fidelu jako Don Kiszocie. Nawet wyglądają podobnie do tych stereotypów.

Wydaje się, że Raul ma pełną świadomość, iż kubański socjalizm żyje w czasie pożyczonym od historii. Gospodarka jest wciąż bardzo mało wydajna. Hojną wenezuelską pomoc w roku 2008 zniweczyły wyjątkowo niszczycielskie huragany (główna plaga Antyli) i globalny kryzys finansowy, który zaciążył na turystyce i handlu zagranicznym. Życie jest bardzo skromne. Coraz trudniej jest państwu wywiązywać się z usług społecznych, tj. zwłaszcza zdrowia i edukacji, z których Kuba słynie i którymi słusznie się chlubi. Ludność wyspy szybko się kurczy, bo Kuba przeżywa zapaść demograficzną. Wenezuelski patron – Hugo Chavez jest chory na raka i w październiku staje do ryzykownych dla siebie wyborów prezydenckich. Samo

kierownictwo kubańskie też się kończy: Fidel ma 85 lat, Raul 80, średnia dla Politbiura wynosi 70. Ci, którzy walczyli u boku Fidela, tzw. históricos powoli wymierają. Odkąd odszedł Lage, nie widać następcy. Raul ma świadomość, że za reformy też zabrał się bardzo późno. Już w grudniu 2010 zawarł w swym przemówieniu znamienne ostrzeżenie: „Albo zdążymy naprawić nasze sprawy, albo nie starczy nam czasu, aby wyminąć przepaść, w którą wpadniemy”.

HASTA SIEMPRE

Mit kubańskiej rewolucji jeszcze trwa, ale powszechna bieda podgryza go coraz bardziej.

Państwo M., moi znajomi, którzy niedawno byli na Kubie jako turyści, zaskoczeni byli tym, jak żywa jest tam jeszcze tradycja rewolucyjna i jak silnie mit rewolucji wrósł w kulturę, także komercyjną. W mieście Santa Clara, gdzie w 1958 roku oddział rewolucjonistów pod dowództwem Che Guevary zdobył pociąg pancerny wojsk Batisty, co znacząco przyspieszyło upadek jego dyktatury, turystów zabawiano słynnym i pięknym hymnem ku czci Che Guevary pt. „Hasta siempre, Comandante”. Został on skomponowany przez Carlosa Pueblę w 1965 roku, w odpowiedzi na bardzo piękny list pożegnalny, jaki ten bezkompromisowy i nieprzekupny rewolucjonista pozostawił na Kubie jadąc walczyć dalej, hasta victoria siempre (do zwycięstwa aż do końca). List ten wisi w każdej kubańskiej klasie i do dziś dzieci uczą się go na pamięć, a piosenka doczekała się światowej sławy i wielu znakomitych wykonń. W rozmowie z jednym z wykonawców moi znajomi dowiedzieli się jednak, że dla młodych Kubańczyków nikt już by tego nie śpiewał, ale dla obcych turystów i owszem, bo piosenka ma międzynarodowy rozgłos i wywołuje nostalgiczne emocje. W dodatku muzy na końcu tego odcinka posłuchamy tej pieśni w wykonaniu Nathalie Cardone i obejrzymy oryginalne zdjęcia z budynku szkoły w boliwijskiej wiosce La Higuiera, gdzie 9 października 1967 roku pijany sierżant Mario Teran zastrzelił ранnego i pojmanego Che Guevarę. Zabitemu odcięto dłonie i

wysłano do identyfikacji do La Paz, a ciało zostało pogrzebane pod pasem lotniska w Vallegrande. Historia lubi jednak zataczać niezwykle kręgi. W 40 lat później zabójca Che Guevary, który ośleplł wskutek zaćmy, został zoperowany przez kubańskich lekarzy w Wenezueli w ramach programu pomocy dla biedoty, jakiej Hugo Chavez udzielił swemu boliwijskiemu przyjacielowi, prezydentowi Evo Moralesowi. Nie tylko na Kubie o tym przypadku długo potem dyskutowano.

Wróćmy do wspomnień państwa M. Zespół z Santa Clara wykonał im potem słynną „Chan Chan” z Buena Vista Social Club (dodałem ją jako muzyczny deser w poprzednim odcinku). To już muzyka z czasów dyktatury Fulgencio Batisty, sprzed rewolucji. Ci, którzy ją wtedy wykonywali, wypadli z gry i dopiero po 40 latach odkrył ich przypadkiem Amerykanin Ry Cooder. Wraz z niemieckim reżyserem Wimem Wendersem zrobili z nich światowe gwiazdy muzyczne i filmowe. Ponieważ byli to także żywiołowi kubańscy patrioci, Hawana umiała to wykorzystać i zręcznie wpleść cały zespół w mit swej rewolucyjnej ideologii.

Mit rewolucji kubańskiej okazał się zjawiskiem i potężnym i trwałym. Do dziś, obok pięknych plaż, taniego rumu i legendarnych cygar ściąga on na wyspę mnóstwo turystów z całego świata. W ubiegłym roku padł rekord: 2,7 miliona. Z powodu tego mitu europejska i latynoska lewica zawsze traktowały reżim kubański o wiele przyjaźniej niż inne. ZSRR i europejskie demoludy nie miały nigdy żadnego romantycznego uroku. Kuba ma go do dziś i to przynajmniej z dwóch istotnych powodów: postawienia się Jankesom i realizacji imponującego programu socjalnego. To właśnie z powodu tego uroku i mitu rewolucji kubańskiej Moskwie do końca opłacało się utrzymywać Fidela Castro i korzystać z jego ogromnej międzynarodowej popularności.

Nawet bowiem kiedy Fidel Castro stał się klientem politycznym i utrzymankiem ZSRR, potrafił podtrzymać i rozbudzać w Kubańczykach tradycyjnie silne nastroje antyamerykańskie i równie silny patriotyzm, a wobec świata przedstawiać Kubę jako

małego dzielnego Dawidka, który skutecznie walczy z powszechnie znienawidzonym Goliatem i radzi sobie mimo nałożonego nań embargo. Tu trzeba wspomnieć o tym, że niechęć do gringos, jak Latynosi nazywają Jankesów, jest w Ameryce łacińskiej powszechna, i każdy kto się im skutecznie postawi, zdobywa tam natychmiast sympatię mas. W Ameryce łacińskiej nie ma narodu i państwa bardziej znienawidzonego niż USA. Na Kubie powody do takiej niechęci są głębsze niż gdzie indziej. Od 1898 roku, kiedy USA odebrały wyspę Hiszpanom, aż do rewolucji Castro 1959 Kuba była de facto kolonią USA, chociaż Amerykanie sporo na wyspie inwestowali.

Również osiągnięcia socjalne Kuby budziły powszechne uznanie. Po zwycięstwie rewolucji Fidel Castro zlikwidował praktycznie całą własność prywatną, w dużej części amerykańską, i uzyskane środki przelał na ambitne programy socjalne, które objęły wszystkich Kubańczyków od kołyski aż po grób. Jego ambicją było państwo opiekuńcze. Zapewnił powszechną darmową edukację i opiekę zdrowotną na światowym poziomie, dla wszystkich bezskładowe emerytury i pogrzeb na koszt państwa. Wyeliminowano analfabetyzm i niedożywienie dzieci, pod względem długości życia i wielu wskaźników rozwoju społecznego Kuba wyprzedziła Stany Zjednoczone (!) Każde gospodarstwo domowe do dziś ma swoją libreta, czyli książeczkę, z której na kartki dostaje miesięczne racje podstawowej żywności, środki czystości itp. po subsydiowanej i stałej cenie. Podobnie subsydiowana jest większość podstawowych usług. W porównaniu z większością krajów latynoskich kobiety wobec mężczyzn i murzyni wobec białych mają na Kubie znacznie równiejszy status.

Oba te aspekty – opór wobec USA i imponujące osiągnięcia społeczne – zjednały Fidelowi wielu zwolenników za granicą i dość powszechne poparcie w kraju. Umowa była taka: władza zapewnia wszystkim bezpieczeństwo i zaspokaja podstawowe potrzeby, a ludność w zamian rezygnuje ze swej wolności. Kto się nie zgadzał na taki deal, ten emigrował, zwykle na Florydę

i to często z zachętą ze strony władz, zwłaszcza na początku. Później, gdy system się umocnił i państwo opiekuńcze stało się także państwem policyjnym, ten kto się z nim nie zgadzał, trafiał na czarną listę, a często i do więzień, w tropikach zwykle wyjątkowo przykrych i groźnych dla zdrowia.

Gdy ZSRR się rozsypał, Kuba się zapadła. W budżecie nagle zabrakło 1/3 środków, państwo zaczęło drukować puste pieniądze, skoczyła inflacja. Płace liczone w realnej sile nabywczej spadły nawet do $\frac{1}{4}$ ich wartości z roku 1989. W badaniu w Hawanie w roku 2000 przynajmniej 20% ludności uznano za tak biednych, że będących na granicy ryzyka zaspokojenia swych podstawowych potrzeb. Dziś w skali kraju ta cyfra jest z pewnością dużo wyższa. Poleciały również świadczenia społeczne. Studium przeprowadzone przez Carmelo Mesa Lago, kubańskiego ekonomistę z uniwersytetu w Pittsburgu i Pavla Vidala z CEEC w Hawanie w latach 1989-93 (tzw. Okres Specjalny) wykazało, że wydatki społeczne realnie licząc spadły aż o 78%. Ostatnio może trochę się to odbiło, ale państwo opiekuńcze chwieje się w posadach.

Drugi potężny cios zadał bowiem Kubie straszliwy huragan z 2008 roku, który mocno nadwreżył zasoby mieszkaniowe kraju. Wbrew temu, co głosi mit, Kuba ma bowiem i zawsze miała slumsy. Kto będzie kiedyś w Hawanie niech odbije na południe od Miramar, od głównej alei ambasad i rezydencji i wjedzie do El Romerio – enklawy stłoczonych bud z dykty i blachy falistej, gdzie wieczorami murzyni grają w domino, narodową grę Kubańczyków. Takich zatłoczonych do granic możliwości slumsów w Hawanie jest więcej, bo całe dekady migracji (głównie właśnie po huraganach) z biedniejszych, wschodnich prowincji do stolicy zdegradowały także jej stare centrum.

Fatalnie prezentuje się transport. Na 11,5 mln mieszkańców przypada ogółem 600 tysięcy samochodów wszystkich typów – pasażerskich i ciężarowych, których średni wiek wynosi 15 lat i które w połowie są własnością państwa. Sytuację podratowała trochę nowa flota chińskich autobusów, ale chyba zapomniano

zawrzeć w kontrakcie porozumienie o ich serwisowaniu, bo coraz więcej z nich wypada z eksploatacji i nie wraca. Transport na Kubie konkuruje o paliwo z powszechnymi tam generatorami na diesel, którymi lokalnie łata się częste niedobory i wyłączenia prądu w sieci.

Pod dwoma względami Kuba wciąż korzystnie odróżnia się od swych sąsiadów. Po pierwsze ma nadzwyczajnie skuteczny system obrony cywilnej kraju, dzięki któremu bardzo częste tam i potężne huragany powodują mniejsze straty w ludziach i majątku niż porównywalnie na innych wyspach Karaibów i w USA. Po drugie: na Kubie jest dość bezpiecznie. Turyści mogą bez obaw chodzić do późna w noc po slumsach Hawany i nikt nikogo nie napadnie. Tak było za moich pobytów dawniej, to samo potwierdzają znajomi turyści obecnie. Mówi się, że jest to zasługa państwa policyjnego, ale fakt pozostaje faktem.

Niestety, edukacja i służba zdrowia, którymi jeszcze niedawno Kuba bardzo się chlubiła, szybko tracą swą jakość i dostępność. Do szkół średnich przechodzi mniej młodzieży niż w szczytowym roku 1989. Na wyższych uczelniach pojawiła się nadwyżka humanistów, a znaczne niedobory na kierunkach ścisłych i stosowanych. Śmiertelność okołoporodowa niemowląt nadal spada, ale u matek zaczyna wzrastać. Brakuje leków. Pacjenci muszą coraz częściej przynosić do szpitala swoją pościel. Pojawiają się doniesienia o lekarzach, którzy żądają od pacjentów pieniędzy. W szpitalach i na pogotowiu mnożą się wypadki odmawiania przyjęć.

W swych dobrych latach Kuba zbudowała imponującą kadrę i infrastrukturę medyczną. W roku 2010 w 77 krajach świata (głównie w Wenezueli, ale także w Afryce, na Karaibach i w Ameryce Łacińskiej) pracowało ogółem 37 000 kubańskich lekarzy i specjalistów medycznych kontraktowanych przez państwo. Ponadto Kuba oferuje 20 000 stypendiów na studiach medycznych dla kandydatów z Ameryki Łacińskiej. Studia te i umiejętności kubańskich lekarzy cieszą się dobrą opinią. Co roku na Kubę przyjeżdża kilkadziesiąt tysięcy dewizowych turystów z USA na

operacje chirurgiczne i po inne usługi medyczne, które wciąż mają na Kubie porównywalną jakość, a kosztują zwykle 1/3 tego, co w Ameryce. Prestiż zawodu lekarza jest nadal wysoki, ale kandydatów jest coraz mniej i wydajność ich pracy słabnie. Powodem są głodowo niskie płace. Lekarz rodzinny w Hawanie zarabia równowartość 40 dolarów miesięcznie. Para butów dla dzieci kosztuje 13 dolarów.

Raul Castro podjął pewne kroki w kierunku racjonalizacji usług medycznych i edukacji i np. podniósł płace nauczycieli. Jednakże istotną reformą, która mogłaby uratować zasadę państwa opiekuńczego byłoby przejście z subsydiowania produktów i usług na subsydia podmiotowe – osób, które tego potrzebują, a tego Raul nie chce zrobić broniąc zasady równości. Także jego propozycja, aby stopniowo odchodzić od systemu kartkowego (libretas) została odrzucona na ostatnim zjeździe PCC.

Rosnące nierówności społeczne na Kubie najlepiej obrazuje jej podwójna waluta wprowadzona w Okresie Specjalnym. Tzw. peso wymienialne, czyli CUC jest kursem przywiązane do dolara USA i pełni podobną funkcję jak kiedyś u nas złoty dewizowy. Jest stosowane w handlu zagranicznym, turystyce i sklepach dewizowych. Zwyczajne peso kubańskie jest teoretycznie warte tyle samo co CUC, ale jest to gruba fikcja księgową. W rzeczywistości peso do CUC ma się jak 1:24. Płace Kubańczyków i ceny podstawowe są określane w zwykłych pesos. Przeciętna płaca miesięczna wynosi 454 pesos czyli 19 dolarów. Zaopatrzenie w sklepach państwowych jest bardzo marne i większość wartościowych towarów jest dostępna tylko za CUC. Każdy stara się więc pracować albo w sektorze turystycznym, albo w firmach zagranicznych, gdzie płacą dewizami. Ci, co pracują na kontraktach zagranicznych też przysyłają rodzinom dewizy. To jest dziś główne źródło rosnących nierówności społecznych na Kubie. Do tego dochodzi teraz sektor prywatny.

Dobłą miarą nierówności jest współczynnik Giniego stosowany w statystyce jako miara koncentracji rozkładu zmiennej losowej.

Zupełną równość wyraża się w nim przez 0, a całkowitą nierówność jako 1. Według badań, których wyniki opublikował kubański magazyn katolicki Espacio Laical współczynnik ten wzrósł z 0,24 w końcu lat 1980. do 0,41 w dziesięć lat potem. Późniejsze badania, których jeszcze nie opublikowano uznają, że jest to już około 0,5 czyli prawie tyle, co średnia dla całej Ameryki Łacińskiej (0,53) w roku 2005. Oznacza to, że społecznie i materialnie Kuba nie różni się już wiele od standardu latynoskiego, a tylko nadal ma zamordyzm.

Na Kubie nie ma jeszcze oligarchów i bogaczy, ale jest już sporo ludzi zamożnych: właściciele biznesów turystycznych (hoteliki, restauracje), więksi farmerzy, funkcjonariusze partii i administracji, którzy korzystają z kontaktów. Czasami jedno przechodzi w drugie. Roberto Robaina, b. minister spraw zagranicznych ma luksusową restaurację w Hawanie. Sami bracia Castro zawsze żyli dość skromnie, ale „Habana Libre”, niedawno opublikowana książka o stylu życia uprzywilejowanej elity artystycznej w stolicy Kuby zawiera zdjęcia synów Fidela i Che Guevary. W rozmowach z Kubańczykami czuje się rosnącą frustrację. Ludzie poniżej czterdziestki są już otwarcie krytyczni wobec systemu: „Korzyści mają tylko oficjele. Dla zwykłych młodych ludzi nie ma tu przyszłości. Poświęcać się dla nich nie warto”. Płomień rewolucji gaśnie.

POR CUENTA PROPIA

Socjalizm przemija, ale sektor prywatny na Kubie przyjmuje się jak po grudzie. Nam w Polsce wiele to przypomina.

Najbardziej widoczną częścią reform wprowadzanych na Kubie przez Raula Castro jest rozwój sektora prywatnego. Podkreśla to para moich znajomych, Iza i Piotr M., którzy miesiąc temu byli tam wprawdzie turystycznie, ale jako ekonomiści na ten aspekt zwracali szczególną uwagę, a potwierdza to zaprzyjaźniony Kubańczyk, też Pedro zresztą, mieszkający w Polsce i żonaty z Polką, inteligentny i bystry obserwator, który prawie co roku na Kubę lata i z którym dużo o tym

rozmawiałem przed zabranieniem się za ten tekst.

Małe prywatne biznesy rozkwitają na całej wyspie, chociaż nie jest to jeszcze biznes o dużej skali i przeważnie tylko handel detaliczny. Tu przydrożny stragan z owocami, tam podręczne stoisko z lodami, buda z ciuchami itp. Przeciętnie taki drobny przedsiębiorca płaci za licencję 200 pesos, a na ichni ZUS 87 pesos miesięcznie. Wokół Parque Central w Hawanie pełno jest sprzedawców różnych przekąsek i napojów, którzy w ten sposób zarabiają na turystach. Wielu z nich to byli nauczyciele, księgowi lub lekarze, którzy porzucili swe pierwsze zajęcie aby zarabiać więcej, chociaż za pracę dużo mniej ambitną.

Swoboda prowadzenia interesów por cuenta propia (na własny rachunek) znaczy bardzo wiele, ale na Kubie nie ma jeszcze otoczenia i warunków, które by temu sprzyjały. Reklama jest wciąż zakazana, aczkolwiek wkrótce mają się zacząć ukazywać drobne ogłoszenia w gazetach i książce telefonicznej. Nie ma jeszcze hurtowni, więc całe zaopatrzenie musi pochodzić z państwowych magazynów lub być dowożone bezpośrednio z zagranicy, mając jednak na uwadze, że najbliższe i najprostsze źródła zaopatrzenia – USA i wszystkie państwa z nimi związane, są dla Kuby zamknięte embargiem. Paradoksalne, ale amerykańskie embargo to jedna z największych przeszkód w rozwoju właśnie prywatnej inicjatywy na wyspie.

Globalny kryzys finansowy z lat 2007-08 też zebrał swoje żniwo. Turyści nie przyjechali, ropa poszła w dół, a wraz z nią i wartość wenezuelskiej pomocy. Huragan i jego skutki oznaczał konieczność zwiększenia importu żywności i to w czasie, gdy jej ceny szły ostro w górę, a ceny niklu – od lat głównej pozycji w kubańskim eksporcie – mocno spadły. Do tego doszły ostre walki frakcyjne w kierownictwie (wtedy właśnie poleciał reformator Lage) i diabli wzięli całą finansową i budżetową dyscyplinę państwa. O kredyt zagraniczny jest bardzo trudno, bo Kuba mocno podpadła międzynarodowym bankom nie spłaciwszy wielu swoich dawnych długów. Żeby nie dewaluować CUC, bo to by spowodowało skokową inflację, rząd dokonał skoku

na kasę co zasobniejszych przedsiębiorstw państwowych i nielicznych spółek joint venture, zabierając im dewizy na łączną sumę 1 miliarda dolarów, których zresztą do grudnia 2011 jeszcze im w pełni nie spłacił.

Zjazd partii w 2011 przyjął ważne wytyczne w celu zwiększenia produkcji i eksportu, zmniejszenia importu oraz uregulowania finansów państwa. Z grubsza biorąc skupiają się one na trzech głównych kierunkach: (1) oddanie odłogowanej ziemi prywatnym farmerom; (2) przeniesienie dużej liczby miejsc pracy do sektora prywatnego i spółdzielczego; (3) zniesienie wielu ograniczeń konsumpcyjnych i przyznanie większej autonomii przedsiębiorstwom państwowym, których na wyspie jest 3700.

Największym problemem Kuby jest bardzo niska wydajność pracy, która jest klasyczną pułapką wszystkich socjalizmów. No bo skoro państwo jest opiekuńcze, a zatrudnienie gwarantowane, nikomu nie opłaca się specjalnie wysilać: wydajniejsi nie dostaną odpowiedniej nagrody, a obiboki nie poniosą należytych konsekwencji. Większość Kubańczyków nie wysila się specjalnie w pracy. Oparci o łopaty gadają godzinami, albo piłując sobie paznokcie plotkują za ładą czy biurkiem. Praca to także dobre miejsce skąd można za darmo porozmawiać ze znajomymi przez telefon, a także gdzie się korzysta ze stołówki i skąd wynosi się do domu wszystko, co ma użytkową wartość – od papieru, mydła i długopisów, po kawę, opatrunki i żarówki.

W tej atmosferze trudno się dziwić, że kuleje i zmniejsza się produkcja. Statystyki kubańskie są niespójne, niepełne i mało wiarygodne, ale Carmelo Mesa Lago, Kubańczyk z Uniwersytetu w Pittsburgu w swych żmudnych poszukiwaniach i obliczeniach dowiódł, że spośród 22 zbadanych podstawowych dla gospodarki produktów rolnych i przemysłowych, w przypadku 15 z nich produkcja na głowę była o wiele niższa w roku 2007 niż w 1958. Stosunkowo największy wzrost nastąpił dla ropy i gazu oraz niklu, a to za sprawą inwestycji jakie od lat 1990. poczyniła w tym sektorze kanadyjska firma Sherritt. Ale już taki sztandarowy dla Kuby produkt jak cukier (trzciniowy, rzecz

jasna) to dziś w przeliczeniu na głowę już tylko 1/8 tego, co produkowano w 1958 i w 1989. Kubańskie rolnictwo w ogóle wygląda żałośnie, tak jak żałośnie brzmią skargi Raula Castro, że Kuba importuje aż 80% zjadanej żywności wydając na to co roku 1,7 mld dolarów.

Państwowa kontrola nad ziemią okazała się klęską. Różne formy państwowych gospodarstw rolnych zajmują jakieś 75% z 6,7 milionów hektarów użytków rolnych na Kubie. W roku 2007 około 45% z nich leżało odłogiem, w większości opadnięte przez rozrastające się jak uporczywy chwast krzewy marabu (*Dichrostachys cinerea*), tj. afrykańskiej odmiany mimozy zawleczonej na Antyle w XIX wieku, z której dopiero ostatnio okazało się, że można robić rewelacyjnie wydajny, tani węgiel aktywowany do najlepszych filtrów i baterii. Jak wszystkie strączkowe (Fabaceae), do których roślina ta należy, może ona też być dobrą paszą dla bydła (liście, strąki), użyźnia glebę i jest bardzo miododajna. Na razie jednak tylko wszystkim przeszkadza.

Kuba jest jedynym krajem w Ameryce Łacińskiej, gdzie zabicie krowy jest przestępstwem niczym w Indiach, i gdzie wołowina jest rzadkim luksusem spożywczym. To jednak nie przeszkodziło, by pogłowie bydła spadło z 7 mln sztuk w roku 1967 do 4 mln w 2011. Cielęciny nie ma w ogóle. Na Kubie, gdzie idee samowystarczalności i produkcji organicznej przynajmniej w teorii cieszą się dużą popularnością i gdzie importowane paliwo zawsze było problemem, tradycyjnie promuje się nadal odchów cieląt na woły i promuje sprzężaj woli, co zresztą według kilku badań w całym rachunku ekonomicznym okazuje się nie być wcale takie głupie. Zaprzęgi z pary wołów pod jarzmem to nadal powszechny na wyspie widok. W tym kontekście bardzo ciekawy i stosunkowo udany jest także kubański program rozwoju miejskiego rolnictwa organicznego, zapoczątkowany w latach 1990. Mam do niego oryginalne i pełne szczegółów materiały filmowe i myślę, że warto będzie kiedyś więcej o tym napisać, gdy tylko znajdę czas na tłumaczenie.

W roku 2008 Raul zezwolił, aby prywatni rolnicy oraz spółdzielnie rolnicze brały od państwa ziemię leżącą odłogiem w dzierżawę na 10 lat. Do grudnia 2011 roku rozdysponowano w ten sposób 1,4 mln hektarów. Ostatnio rząd zezwolił na wydłużenie okresu dzierżawy do 25 lat, zgodził się, aby takich gruntach stawiano budynki i obiecał, że jeśli dzierżawa nie zostanie przedłużona, dzierżawcy dostaną rekompensatę za poczynione inwestycje.

Podobnie jak w innych dziedzinach gospodarki, na Kubie szwankuje kredyt, rynek hurtowy i całe otoczenie organizacyjno-infrastrukturalne rolnictwa. Dużo jeszcze czasu upłynie, zanim prywatni farmerzy wyzwolą się z biurokratycznego uścisku Acopio, państwowego molocha, który ma monopol na całe zaopatrzenie rolnictwa i skup jego produkcji. Ale pierwsze oznaki wolności i tu już są: farmerom wolno dziś sprzedawać nadwyżki produktów rolnych oprócz 17 wymienionych na liście pozycji podstawowych. W podhawańskich prowincjach Mayabeque i Artemisa wdrożono program pilotażowy, w którym nowe spółdzielnie przejmą wiele z dotychczasowych funkcji Acopio.

Reformatorzy w Hawanie najchętniej pozbyliby się Acopio w ogóle. Chce tego nawet Joaquín Infante Ugarte, szef ANEC, czyli Krajowego Stowarzyszenia Ekonomistów i Księgowych: „Acopio to porażka. Powinniśmy podłożyć pod to bombę i wysadzić je w cholerę”. Ale dla większości gmin na Kubie (przynajmniej 100 ze 168 ogółem) rolnictwo stanowi podstawę gospodarki, a więc Acopio to ważna twierdza władzy i źródło wpływów dla partyjnych bonzów w terenie. Jego przyszłość to przedmiot zażartej walki politycznej. Rolnicy mogą poczekać, tym bardziej, że wprowadzane w rolnictwie zmiany nie przynoszą jednak spodziewanych rezultatów. Według oficjalnych danych w ubiegłym roku produkcja wielu artykułów rolnych wręcz spadła znacząco, a ich ceny wzrosły średnio o 20%. Może to jednak być i najpewniej jest wynikiem procesu omijania oficjalnych kanałów skupu, przez co takie dane omijają statystyki. Granma,

oficjalny i nadal jedyny dziennik na Kubie (który wziął swą nazwę od jachtu jaki w 1956 roku przywiózł 82 rewolucjonistów Fidela z Meksyku na Kubę, aby zrobili tam rewolucję), podała już kilka razy, że w Hawanie pojawił się spontaniczny rolny rynek hurtowy z własnym samorządem i regulacjami. Czyżby o to właśnie chodziło?

Zamierzone zmniejszanie udziału państwa w gospodarce napotyka na spore opory. Pierwotnie Raul zapowiedział, że zamiarem rządu jest zmniejszenie zatrudnienia w sektorze państwowym o pół miliona do marca 2011 i o 1,1 mln osób do roku 2014. Cele te zostały już przesunięte o kilka lat, bo rząd nie potrafi zapewnić odpowiednio atrakcyjnej alternatywy, aby pracownicy chcieli porzucać bezpieczne zatrudnienie na państwowym i możliwość skubania państwowego majątku tamże. Jeśli jednak uwzględnić coraz częstsze odejścia dobrowolne, przechodzenia na emeryturę i plany przekształcenia państwowych zakładów usługowych w spółdzielnie, tak jak to już zrobiono z zakładami fryzjerskimi i kosmetycznymi oraz częścią taksówkarzy, to do roku 2015 około 35-40% zatrudnionych, z obecnej liczby 4,1 mln osób, powinno znaleźć się poza sektorem państwowym.

Do końca 2011 roku około 338 tysięcy Kubańczyków wystąpiło do państwa o licencje na prowadzenie prywatnego biznesu. 60% z nich nie rezygnuje jednak z pracy na państwowym twierdząc, że chce po prostu zalegalizować działalność wcześniej prowadzoną nieformalnie. I tak, jak to dzieje się z małymi biznesami na całym świecie, wiele z nich pada już w pierwszym roku. Mało kto na Kubie ma doświadczenie w pracy na swoim, a wiele osób po prostu nie odróżnia wpływów kasowych od zysku. Wspomniany ANEC organizuje kursy szkoleniowe dla początkujących adeptów inicjatywy prywatnej. Jednakże kiedy kubański Kościół katolicki nieśmiało wystąpił z inicjatywą powołania pierwszej na wyspie szkoły biznesu, rząd natychmiast i stanowczo odmówił.

Jeżeli więc praca na własny rachunek ma nie być kolejną receptą na klepanie biedy, tyle że inaczej, rząd musi jeszcze

bardziej poluzować śrubę. Zaangażowany w program zmian reformistyczny ekonomista reżimowy Omar Everleny, zabiega o utworzenie modelu, w którym własne biznesy mogliby zakładać ludzie wolnych profesji: architekci, inżynierowie, prawnicy, artyści, lekarze... Obniżono już podatki i wprowadzono ulgi na rozruch dla nowych przedsiębiorstw, ale są one – jak twierdzi dysydencki dla odmiany ekonomista Oscar Espinosa Chepe – pomyślane tylko na tworzenie firm rosnących „jak drzewka bonsai”.

Kolejną przeszkodą jest brak kredytu. Pieniądze na rozruch nowych inicjatyw i biznesów prywatnych pochodzą prawie w całości z przekazów dewizowych zza granicy. W styczniu br. rząd uruchomił pierwszy pilotażowy program przeznaczając 3,6 mln dolarów na kredyty, prawie w całości na remonty budynków. W ramach deregulacji Raul wprowadził także kilka prostych i bardzo popularnych zmian, np. znosząc dotychczasowy zakaz korzystania przez Kubańczyków z hoteli turystycznych oraz zakaz posiadania telefonów komórkowych i komputerów. W zeszłym roku pozwolił także na wolny prywatny obrót domami i samochodami. Dla nas to już egzotyka, już prawie nie pamiętamy, że mogło być inaczej, ale na Kubie to kolejna rewolucja.

O wiele bardziej skomplikowane jest jednak reformowanie przedsiębiorstw państwowych. Dostały one polecenie, aby płace wiązać z wydajnością. Przedsiębiorstwa, które przynoszą straty będą łączone z innymi albo przekształcane w spółdzielnie pracy swoich załóg. Nie wprowadza się jednak ustawy o bankructwach, chociaż się o niej mówi. Podobnie zawieszone są decyzje o zaniechaniu subsydiowania i wprowadzenia cen rynkowych. Dużych zmian oczekuje się jeszcze w tym roku wraz z wprowadzeniem podatku od przedsiębiorstw. Tempo przemian uległo przyspieszeniu odkąd ostatni zjazd partii ustanowił specjalną komisję nadzoru reform złożoną z 90 osób, na czele której stanął Marino Murillo, członek Biura Politycznego PCC i b. minister gospodarki.

Władze są jednak nadal niezdecydowane w bardzo ważnej sprawie dopuszczenia inwestycji zagranicznych, które były przecież kluczowym elementem przyspieszenia rozwoju np. Chin albo Wietnamu. W Okresie Specjalnym rząd w Hawanie zlikwidował kilka wcześniejszych spółek typu joint venture i wycofał się z tego programu. Te, które zawiązują się obecnie to prawie wyłącznie spółki z kapitałem pochodzącym z Wenezueli (bo Chavez), Brazylii (bo Lula) lub Chin (bo KPCh). Dla przykładu: duża brazylijska firma Odebracht zawarła ostatnio kontrakt na prowadzenie przez 10 lat wielkiej cukrowni w Cienfuegos. Wiele obcych firm zdradza zainteresowanie rynkiem kubańskim, ale od wchodzenia tam w spółki odstrasza ich oczekiwanie władz, że rząd zachowa w nich pakiet większościowy, no i mają uzasadnione obawy znając historię wcześniejszych zmian strategicznych decyzji i programów.

Władze obawiają się głównie tego, że wraz z obcymi inwestycjami na Kubę wejdzie korupcja. Raul uruchomił właśnie wielki i priorytetowy program walki z korupcją i ustanowił urząd generalnego audytora o bardzo dużych kompetencjach. Do więzienia za korupcję trafiło już kilkuset urzędników i funkcjonariuszy partii, w tym wielu wysokiego szczebla, a także trzech biznesmenów-cudzoziemców. W obliczu rosnących nierówności społecznych, o których szerzej pisałem w poprzednim odcinku, Raul słusznie postrzega korupcję jako zjawisko szczególnie jętrzące, wywołujące społeczne niezadowolenie i nieufność. Mimo to, walka z korupcją z konieczności dotyczy tylko przejawów, a nie istoty problemu, który najkrócej da się streścić tak: ludzie, którzy zarabiają po 20 dolarów miesięcznie negocjują kontrakty o wartości 10 mln dolarów. Jak mają nie ulec pokusie?

Wytyczne do zmian obejmują tylko reformy mikroekonomiczne. Recepta Raula dotycząca makroekonomii jak na razie sprowadza się do zaciskania pasa. Udało mu się ograniczyć deficyt rachunków bieżących i fiskalny, a także trochę przyciął rozbuchaną biurokrację, np. likwidując ministerstwo cukru.

Najtrudniejszą z czekających go reform będzie zapewne unifikacja obu kubańskich walut poprzez dewaluację CUC i aprecjację zwykłego peso. Ponieważ Kuba nie należy do MFW ani Banku Światowego i jak na razie nie zamierza się z nimi zadawać (co chyba warto pochwalić), taka operacja nie będzie szybka. Wszelakoż znający temat ekonomiści wskazują, że po to aby dewaluacja stała się bodźcem, a nie tylko wywołała inflację, gospodarka musi stać się systemem o wiele bardziej elastycznym. A to zapowiada dużą i jeszcze długą walkę polityczną.

NADZIEJA W PARTII?

Na Kubie nie ma skutecznej opozycji ani woli buntu. Wniosek: na czele koniecznych zmian musi stanąć ...partia.

Oprócz obu braci Castro na świecie współcześnie znane są z Kuby tylko nazwiska niektórych sportowców, artystów i dysydentów. Wśród tych ostatnich szczególną sławą cieszy się od kilku lat 36-letnia Yoani Sanchez, autorka słynnego blogu Generación Y, prowadzonego od 2007 roku. Miesza w nim swoje komentarze polityczne z obserwacjami kubańskiej codzienności. Jest filologiem i przez pisanie blogu nabrała już sporej dojrzałości w piórze, a nawet udało jej się wykuć kilka obrazowych kpiarskich wyrażen. Raz na dwa tygodnie ma swoją kolumnę w hiszpańskim dzienniku El Pais o orientacji socjaldemokratycznej, i – jak to często z prozachodnimi dysydentami bywa – jest ostatnio obsypywana międzynarodowymi nagrodami dziennikarskimi. Wydaje się, że jest świadoma swej roli, ma z tego tytułu stosunkowo niezłe dochody z zagranicy i wcale jej to nie przeszkadza, że swą działalnością przede wszystkim odpowiada na polityczne zapotrzebowanie z Zachodu. Tacy dysydenci byli kiedyś i u nas. Dla reżimu jest jednak tym rodzajem opozycji, która jest najbardziej irytująca i z którą walczy się najtrudniej.

Osobom znającym język hiszpański – a wiem, że jest takich w Polsce przynajmniej 20-30 tysięcy, nie licząc tych, którzy się

go dopiero uczą – polecam bardzo ciekawy wywiad z Yoani Sanchez, który nie tylko zgrabnie streszcza wiele z tego, co napisałem w tej analizie, ale i trafnie diagnozuje sytuację polityczną panującą na wyspie: „Si hoy hubiese elecciones en Cuba ganaria la apatia” (Gdyby dziś odbyły się na Kubie wybory, zwyciężyłaby apatia).

Reżim długo wzdragał się przed akceptacją Internetu. Najbardziej pomagały mu w tym ...Stany Zjednoczone i nałożone przez nie embargo, które nie pozwala na podłączenie wyspy do podmorskich kabli światłowodowych na Karaibach. Zamiast tego Kuba ma nadal denerwująco ślamazarne połączenie wąskopasmowe z ruskiego satelity. Według danych kubańskiego „GUS-u” w roku 2010 na wyspie było 724 000 komputerów dając dostęp 1,8 mln użytkowników do państwowego intranet. 434 000 osób, które mogły połączyć się z Internetem to przede wszystkim uprawnieni specjaliści z różnych dziedzin, którzy korzystają z tego połączenia służbowo w miejscu pracy, a zatem pod kontrolą.

Yoani Sanchez, która własnoręcznie zbudowała sobie swój pierwszy komputer zaczęła umieszczać posty na swoim blogu korzystając z internetowych łączy w hotelach dla zagranicznych turystów. Ona i jej mąż, Reinaldo Escobar, też niepokorny kubański bloger twierdzą o sobie, że są dziennikarzami, a nie działaczami politycznymi, i że planują założenie internetowej gazety skierowanej do cuentapropistas, jak na Kubie nazywa się prywatna inicjatywę (por cuenta propia– na własny rachunek). Jednakże zainteresowanie, jakim jej blog cieszy się zwłaszcza za granicą, bardzo denerwuje władze w Hawanie. W państwowej telewizji nazywa się ją ‘cyber-terrorystką’ i regularnie odmawia jej prawa wyjazdu za granicę. Jest stale obrażana przez prorządowych blogerów i komentatorów, o których ona sama twierdzi, że są po prostu agenturą w cywilu. Komentarze pod jej wpisami są zwykle agresywne i chamskie, a więc czyta się tak, jak niektóre dyskusje na Nowym Ekranie. Mimo to, publiczna widoczność jej blogu stanowi dla Yoani pewną ochronę. Ilekroć pojawiają się poważniejsze kłopoty, Yoani

informuje o nich na Twitterze, gdzie ma 200 000 rozmówców, prawie wyłącznie z zagranicy, a także rozsyłając alarmujące SMS-y.

Decyzja Raula, aby pozwolić Kubańczykom kupować telefony komórkowe i komputery osobiste miała o wiele większy skutek niż prawdopodobnie on sam i ktokolwiek inny mógłby przewidzieć. W nieoficjalnych szacunkach liczbę telefonów komórkowych ocenia się dziś na 2 mln (Kuba ma 11,5 mln obywateli). Kubański pisarz Antonio Jose Ponte, który od 2006 roku mieszka w Madrycie, zachwyca się tym, jak powszechnie służą one do robienia zdjęć i nagrań wideo z najść policji oraz bicia działaczy opozycji i demonstrantów na ulicach. Materiały te są przekazywane do stacji TV w Miami, które je nadają, i skąd następnie przemycą się je na Kubę na „pędrakach”, płytach CD i DVD.

Ceny w kubańskiej telekomunikacji są w relacji do zarobków niebotyczne, co ma zniechęcić większość obywateli do zbyt powszechnego z nich korzystania. Na poczcie młodzi ludzie stoją w kolejkach, aby skorzystać z własnej skrzynki e-mailowej za 1,5 dolara na godzinę. Są już i usługi prywatnego dostępu do Internetu, tak samo powolnego, ale one kosztują przynajmniej dwa razy tyle. Każdy ściąga z poczty wszystko na własny gwizdek i potem ogląda sobie zawartość dokładnie w domu i dzieli się, głównie filmami i muzyką, ze znajomymi już w obiegu prywatnym.

Władze są bardzo czujne w sprawach nielegalnych połączeń, zwłaszcza telewizji satelitarnej. W roku 2009 Alan Gross (aj, to nazwisko coś mi przypomina!), turysta z USA, który jak się okazało był także pracownikiem agencji rządu federalnego, został przyłapany na rozdzielaniu sprzętu internetowego i telefonów satelitarnej według specjalnej listy, którą miał ze sobą. Po dwóch latach śledztwa (głównie w sprawie tej listy) został skazany na 15 lat kubańskiego pierdła. Delikatnie mówiąc nie jest to sanatorium i lata odsiadki można mu już dziś odliczyć od średniej długości życia amerykańskiego

urzędnika.

Na samej wyspie technologia informatyczna, owszem, uczyniła już szczelinę w państwowym monopolie informacyjnym, ale nie ma jeszcze dostatecznego zasięgu i w społeczeństwie nie robi większego wrażenia. Na samej Kubie Yoani Sanchez jest osobą prawie nieznaną. Nikt poważny nie przewiduje wybuchu jakiejś „kubańskiej wiosny”. Sondaż dyskretnie przeprowadzony rok temu przez waszyngtoński Freedom House na próbie 190 Kubańczyków stwierdził, że 90% z nich miało dostęp wyłącznie do oficjalnych mediów.

Rząd czujnie i umiejętnie tłumi każdą inicjatywę opozycji. Kiedy w roku 2002 opozycji udało się w końcu zebrać 10 000 podpisów wymaganych dla wniesienia na forum Zgromadzenia Narodowego inicjatywy obywatelskiej na rzecz wyborów wielopartyjnych, reżim zorganizował referendum, w którym 8 mln obywateli głosowało na rzecz przyjęcia poprawki do konstytucji stwierdzającej, że socjalizm jest na Kubie „ustrojem nieodwołalnym”. W rok później wielu z organizatorów akcji zbierania podpisów znalazło się wśród 75 dysydentów, których po pokazowych procesach skazano na długie wyroki więzienia. Na ogół Kubańczycy uważają, że „dobrze im tak, bo sami sobie nagrabili”. Działalność opozycyjna jest traktowana jako sprawa prywatna, rodzaj masochistycznego świra albo hobby, a w najlepszym razie jako inwestowanie w zagraniczne poparcie, także materialne, okazywane dysydentom z zewnątrz, ale któremu nie trzeba i nie ma sensu specjalnie pomagać. Bardzo wielu ludzi także prywatnie uważa dysydentów za zdrajców lub obcą agenturę. Nawet mój znajomy Pedro, choć od kilkunastu lat mieszka w Polsce i ma polską żonę, a także inna para Kubańczyków mieszkająca w Niemczech, z którymi się u niego spotkałem, też patrzą na dysydentów nieufnie. „To ich sposób na życie. Za każdy dzień pobytu w więzieniu dostaną z Ameryki więcej, niżby zarobili pracując i wszyscy na Kubie głównie tak ich osądzają”.

Grupki dysydenckie na Kubie są małe, skłócone, rozproszone i

silnie spenetrowane przez konfidentów bezpieczeństwa. W optyce władz, jak się wydaje, występują trzy wyraźne ich kategorie. Jednych traktuje się z pobłażaniem jako pomyłków, których trzeba raczej leczyć niż wsadzać do więzień i z tych się powszechnie drwi. Drugi to oportuniści, których łatwo jest przedstawiać jako agentów USA, ale są oni dla władz też wygodni, bo dobrze kodują stereotyp dysydenta, społecznie izolowany i otaczany pogardą. Najmniej liczna jest trzecia grupa – ci, którzy wydają się i kompetentni i autentyczni jako krytycy i przeciwnicy reżimu. Poznaje się ich po tym, że ci są nękani naprawdę i przez bezpieczeństwo i przez sądy. Należy do nich Oscar Espinosa Chepe, b. doradca ekonomiczny Fidela Castro a potem radca ekonomiczny ambasady Kuby w Belgradzie. Był jednym z 75 oskarżonych i skazanych w 2003 roku, i jednym z 52 zwolnionych w 2010.

Ogólnie biorąc kubańska opozycja jest ideologicznie jałowa, a społeczeństwo bierne także z jej powodu. Ludzi, zwłaszcza młodych, wyćwiczono bowiem w przekonanie, że opór wobec reżimu ma mieć charakter prześmiewczo-olewisty, bo wszelkie ideowe zaangażowanie to właśnie domena postawy proreżimowej, czyli już z definicji jest warte wykpienia. Krytyk reżimu to luzak i cynik, a nie kolejny rewolucjonista, tyle że a rebours. Również z tego względu opozycja nie wygląda poważnie i nie ma takich szans.

Zarówno Espinosa Chepe jak i wspomniany już pisarz dysydent Antonio Jose Ponte uważają, że opozycja kubańska nie wygeneruje z siebie żadnej zmiany, bo jest podzielona i działa w izolacji. Wszelka zmiana w najbliższej perspektywie politycznej możliwa jest tylko ze strony ...samej partii. Czy jest w tym dla Kuby jakaś szansa?

Na początku br. w domu kultury w El Cerro, robotniczej dzielnicy Hawany odbyła się dyskusja z udziałem około 150 osób nt. udziału obywateli w samorządach lokalnych. Była to mieszanina intelektualistów i mieszkańców dzielnicy (w tym wielu członków partii). Samo zdarzenie należało do serii

regularnych debat publicznych urządzanych przez prowadzone przez Rafaela Hernandeza „zeszyty teoretyczne” pt. Temas. Trzej paneliści i prawie cała publiczność była wtedy zgodna w tym, że odgórna dyktatura partii zubaża publiczną dyskusję i zabija inicjatywę obywateli, która przecież i tak jest bezpiecznie socjalistyczna. Wiele razy krytycznie wspomniano w tym kontekście Fidela Castro. W rozwinięciu tej debaty, już potem w zeszytach Hernandeza, pojawiło się przekonanie, że dążenie do reform gospodarczych ma dalekosiężne implikacje polityczne. Aby reformy zaczęły działać potrzebna jest decentralizacja, zmniejszenie roli państwa i lepsze regulacje prawne. Partia musi więc zmienić sposób swego rządzenia. Wydaje się, że ta świadomość dociera już na szczyty władzy. Na zamkniętej konferencji partyjnej 28-29 stycznia 2012 Raul Castro powtórzył swe wezwanie do rozdziału partii i rządu.

Będzie to z pewnością bardzo trudne. Konstytucja Kuby z 1976 roku określa PCC jako „przewodnią siłę w społeczeństwie i kierowniczą siłę w państwie”. Do partii należy 800 000 dorosłych członków, a jej młodzieżówka to kolejne 700 000. Już dwa pokolenia Kubańczyków przywykły do tego, że partia rządzi wszystkim od szczytu po samo dno, w sposób własnowolny i z którego przed nikim nie musi się tłumaczyć.

Silny opór wobec zmian da się wyjaśnić również tym, że na Kubie są dziesiątki, ba! setki tysięcy ludzi, którzy uważają, że skoro poświęcili swoje życie dla rewolucji i Fidela, to otwieranie teraz okazji do materialnego sukcesu dla tych, którzy albo rewolucję mieli w du... (żym poważaniu) albo wręcz się jej opierali, byłoby dziejową niesprawiedliwością. Duże znaczenie mają nadal silne przekonania ideowe. Machado Ventura i Ramiro Valdes, którzy w hierarchii 14-osobowego Biura Politycznego są numerami 2 i 3, zaraz za Raulem, to starzy twardogłowi stalinowcy. To ciągle jeszcze także licznie spory na Kubie problem, który prawdopodobnie musi czekać dopiero na swoje biologiczne rozwiązanie.

Na zjeździe w 2011 roku Raul Castro przyznał, że partii nie

udało się wypromować nowego pokolenia przywódców. Wydaje się, że próbuje to teraz nadrobić. Oprócz ministra planowania gospodarczego Marino Murillo (rocznik 1961) i ministra gospodarki Adal Yzquierdo (1945), w obu przypadkach inżynierów i technokratów z armii, zjazd dokooptował do Biura Politycznego dwoje młodszych liderów: Miguel Diaz Canel Bermudez (1960), ministra nauki szkolnictwa wyższego, też inżyniera, oraz panią Mercedes Lopez Acea (1966), która jest pierwszym sekretarzem partii w Hawanie. Zarówno rada państwa jak i rada ministrów ma obecnie więcej kobiet i więcej czarnoskórych niż kiedykolwiek przedtem. W kierownictwie partii jest też dużo więcej młodych działaczy. Średnia wieku potężnych szefów partii w terenie wynosi już 44 lata.

Politycznego otwarcia na Kubie jeszcze nie ma, ale widać już sporo zmian. Nadal obowiązuje cenzura, ale pojawiło się sporo krytycznych książek, odważnych filmów i śmiałych dzieł sztuki. Z drugiej strony mamy i takie zjawisko jak La Rotilla – doroczny festiwal muzyki alternatywnej, który ściąga tysiące młodzieży z całej Kuby. Kiedy w ubiegłym roku władze chciały na nim położyć łapę, organizatorzy po prostu festiwal odwołali i wszyscy już wiedzą dlaczego.

Bodaj najciekawszym aspektem zmian politycznych na Kubie jest powoli, ale stale rosnąca rola Kościoła katolickiego. Raul Castro postawił na Kościół jako na pośrednika w zjednywaniu i jednoczeniu kubańskiego społeczeństwa. Regularnie spotyka się z kardynałem Jaime Ortegą, prymasem Kuby i arcybiskupem Hawany, a treści i wnioski z ich rozmów są potem przekazywane w niższych strukturach Kościoła i partii. Ksiądz Orlando Marquez, rzecznik kardynała twierdzi, że Kościół w tych rozmowach stale nalega, by rząd przyznał obywatelom więcej swobód społecznych i gospodarczych, w tym więcej wolności słowa i zrzeszeń. Ale Kościół robi to bardzo ostrożnie, a jego krytycy twierdzą, że ma w tym interes, bo sam się zmian boi, a obecna równowaga w stosunkach z państwem bardzo mu odpowiada.

Kuba to jednak nie Polska. Ks. Marquez przyznaje, że chociaż

oficjalnie 60% Kubańczyków jest ochrzczonych, to tylko 5% jest praktykujących. Więcej wiernych liczy obecnie Santeria, synkretyczny kult afro-kubański, niedaleki od haitańskiego voodoo i praktykujący m.in. magię opętania. Jednak tu znowu trzeba przyznać, że władze coraz lepiej odnoszą się do Kościoła i na coraz więcej mu pozwalają. W roku 2011 po raz pierwszy od czasów rewolucji odbyła się pielgrzymka tamtejszego cudownego obrazu MB de la Cobre, witanej przez tłumy Kubańczyków. 26 marca wyspę odwiedził Papież Benedykt XVI (wcześniej zrobił to Jan Paweł II w 1998) i była to bardzo udana wizyta, która szerzej, choć jeszcze nieformalnie, otwiera Kościołowi drogę do budowania na wyspie katolickiej infrastruktury oświatowej.

Niektórzy działacze kubańskiej emigracji twierdzą że Raul zdołał inteligentnie zinstrumentalizować Kościół kubański i wciągnął go do swych planów. Inni uważają taką opinię za uproszczenie. Kościół rzeczywiście utworzył platformę dla spotkań i dialogu pomiędzy opozycją i władzą na Kubie. Rzecz w tym, że opozycja na Kubie jest bezpłodna, a najżarliwsi przeciwnicy reżimu (też zresztą jałowi) nie przyjeżdżają na takie spotkania, bo mieszkają w Miami. O nich jednak będzie mowa za chwilę.

DWA KUBAŃSKIE NARODY

Ludność Kuby kurczy się, starzeje i emigruje. O samobójstwie demograficznym wyspy, o antycastrowskiej emigracji w USA i o fiasku amerykańskiego embarga.

Kuba jest jedynym krajem Ameryki łacińskiej, w którym liczba ludności stale i od wielu lat się zmniejsza. Pierwszą i najważniejszą przyczyną jest to, że 'wyzwolone' Kubanki mają coraz mniej dzieci. Realny socjalizm przyniósł na Kubę nie tylko rewolucję seksualną, zapewne w dużej części obliczoną na łatwe zbałamucenie młodego pokolenia, oraz głęboki kryzys instytucji rodziny (a przykład żywiołowego promiskuityzmu dawali sami czołowi rewolucjoniści), ale i zainicjował istne

samobójstwo demograficzne. W roku 1963 na kobietę przypadało pięcioro Kubaniątek, w roku 1978 już tylko 1,9 dziecka, a w 2008 zaledwie 1,4. I nadal spada.

Dziś patronką rewolucji obyczajowej na Kubie jest Mariela Castro Espin, 51-letnia córka Raula Castro, z zawodu seksuolog, z powołania zwariowana feministka i promotorka zboczeń. O ile Fidel i Raul są zazwyczaj kontestowani przez zachodnią opinię publiczną z powodów polityczno-bankowych, o tyle Mariela jest entuzjastycznie witana na Zachodzie bohaterką różnych tęczowych konferencji i konwentykli pedałów, sodomitów, gomorytek, transwestytów i palikociarni wszelkiej maści. Aby dodać jej misji powagi i znaczenia, pośredniczy ona nawet, i to z powodzeniem, które ułatwia jej potężne tęczowe lobby w Ameryce, w pertraktacjach o wymianie więźniów politycznych i łagodzeniu embarga. Na Zachodzie uchodzi zresztą za naukowca, bo napisała aż 13 artykułów i bodaj 7 książek promujących zboczenia seksualne. To z jej inicjatywy w czerwcu 2008 roku uchwalono na Kubie prawo przewidujące za darmo operacje chirurgicznej zmiany płci u osób, które sobie tego zażyczą. Można z tego wysnuć wniosek, że Kuba nie ma większych zmartwień ani potrzeb.

Kuba pada zresztą o wiele szerzej ofiarą sukcesu swej medycyny, bez wątpienia wciąż najlepszej w Ameryce łacińskiej: śmiertelność niemowląt jest najniższa na całej zachodniej półkuli (licząc USA i Kanadę), a dorośli dożywają tam sędziwego wieku. Skutek jest taki, że Kuba starzeje się szybciej niż inne kraje regionu. Już dziś zrównała się tam proporcja osób w wieku do 14 lat i powyżej 60 lat (po 18%), a do roku 2025 liczba emerytów i rencistów zrówna się z liczbą osób pracujących. Jak łatwo się domysleć emerytury są głodowe – w 2008 średnio było to 10 dolarów miesięcznie – i emeryci należą dla najbiedniejszych osób na wyspie, ale w roku 2008 pochłaniały one 7% PKB. W latach 1990. wprowadzono składki emerytalne, a w grudniu 2008 rząd podniósł i składki i wiek emerytalny (60 lat dla kobiet, 65 dla mężczyzn). To jednak nie

wystarczy, aby system emerytalny uzyskał samowystarczalność, albo żeby zmniejszyć powszechną nędzę emerytów.

Jest jednak i trzeci powód demograficznej zapaści: emigracja. Rocznie z Kuby wyjeżdża na stałe 30 000 osób. Dziś już niewielu ryzykuje przeprawę na własnoręcznie skleconych tratwach lub starych oponach przez zdradliwą, szeroką cieśninę, jaka oddziela Kubę od półwyspu Florydy. Cieśnina ta wynosi mocny Prąd Zatokowy na Atlantyk, a wraz z nim wyniosła tam na zawsze większość takich desperatów, których potem zjadły rekiny. Dziś wielu Kubańczyków staje po prostu w kolejkach po wizy. Od początku lat 1990. władze USA zmęczone patrolowaniem oceanu i ratowaniem kubańskich rozbitków aż po wyspy Bahama, przydzieliły Kubańczykom 20 000 wiz rocznie, które losuje się w loterii. Drugim krajem emigracji jest Hiszpania, która daje wizy dzieciom i wnukom tych osób, które z niej wyjechały w czasach wojny domowej i za dyktatury Franco. Kubańczycy dostali już 63 000 hiszpańskich paszportów. No i trzeci kanał: rosnąca liczba Kubańczyków, przeważnie fachowców, którzy nie powracają z zagranicznych kontraktów i wyjazdów, np. do Wenezueli. W tej sytuacji rosnący wyciek najlepszych kadr stanowi poważne zagrożenie dla przyszłości wyspy. Właśnie z tego względu Raul Castro wciąż utrzymuje restrykcje w postaci tzw. wiz wyjazdowych.

Największa liczba kubańskich emigrantów – blisko 1,8 miliona – mieszka w USA, z czego większość na Florydzie. W pierwszych 15 latach po rewolucji do Miami przybyło pół miliona uchodźców z Kuby. Sporo było ludzi związanych z reżimem Batisty, w tym jego dawnych siepaczy, którzy uchodzili przed niechybną zemstą zwycięzców. Dużo też było rozmaitych posiadaczy i wysoko kwalifikowanych fachowców, którzy ratowali majątek lub nie chcieli by ich umiejętności były wykorzystane w ustroju, który odrzucali. W sumie na Florydę uciekł i nadal ucieka element najbardziej przedsiębiorczy i najlepiej wykwalifikowany. Władze federalne USA miały swoje rachuby związane z konfliktem kubańskim i podsypały tej emigracji wyjątkowo hojną pomoc

asymilacyjną. To dzięki kubańskim emigrantom Miami szybko przekształciło się z sennego ośrodka wypoczynkowego w dynamiczne centrum biznesowe. Tylko niewielki procent imigrantów nie znalazł sobie nowego miejsca w Ameryce i to z głównie z nich, rekrutowali się ochotnicy, którzy powodowani nienawiścią bądź to wzięli udział w nieudanej inwazji w Zatoce Świń 1961, bądź też potem stracili podłożoną bombą kubański samolot cywilny lecący z Barbados na Jamajkę, zabijając 78 osób w 1976 roku. Na Kubie tę nienawistną ale wpływową emigrację nazywa się pogardliwie gusanos (robactwo).

Nienawiść do reżimu w Hawanie to wciąż podstawowa emocja, która jednoczy gusanos. Powodowani tym niemiłym uczuciem stworzyli oni jedną z najskuteczniejszych machin politycznych w historii USA. Popierają tylko republikanów i tylko swoich. Trzy z czterech okręgów wyborczych w Miami i jedno z dwóch miejsc dla stanu Floryda w Senacie są obsadzone przez kongresmenów kubańskich. Również w New Jersey, gdzie mieszka 85 000 Kubańczyków, senatorem jest ich człowiek, Roberto Menendez. Obecnie największą nadzieją Kubańczyków jest 41-letni senator z Florydy Marco Rubio, bodaj najbardziej prawdopodobny kandydat na wiceprezydenta u boku Mitta Romneya, mormońskiego jastrzębia, który ma nadzieję w listopadzie wysadzić z fotela Obamę i poprowadzić Amerykę na wielką III wojnę światową. (Notabene Rubio, który obecnie jest znów katolikiem, miał w swym życiu epizod przejścia na mormonizm).

Poprzez tak zbudowane wpływy kubańscy emigranci zdołali już w 1960 roku wprowadzić słynne amerykańskie embargo przeciw Kubie, licząc na to, że blokada handlu z najważniejszym partnerem handlowym i jego satelitami załamię reżim w ciągu kilku lat. Ten osobliwy rodzaj patriotyzmu („nieważne ile cierpi Kuba, byleby zdechł Castro”) stworzył w ciągu wielu lat praktycznie dwa różne narody kubańskie (ten z wyspy i ten z półwyspu, cubanos y gusanos) i ogromną przepaść między nimi. Ta sama potężna machina do dziś uniemożliwia nawiązanie normalniejszych stosunków USA z Kubą, mimo że Waszyngton już

dogadał się z Chinami, a nawet w 1995 roku z Wietnamem zaledwie 20 lat po bardzo krwawej wojnie. Joe Garcia, Kubańczyk, który kiedyś też należał do twardogłowych i nieprzejednanych przeciwników Hawany, ale teraz jest demokratą i nawet kandyduje do Kongresu z Miami, uważa, że jest to postawa psychopatyczna: „Jest to polityka zapiekłej zemsty za wszelką cenę, która nie ma nic wspólnego z tym, co się dzieje na wyspie. Teraz już nawet nie chodzi tylko o reżim, ale aby zaszkodzić także społeczeństwu, które na wyspie wciąż żyje i które ten reżim toleruje”.

Przedstawicielem takiej postawy jest Lincoln Diaz Balart, który po 18 latach zasiadania w Kongresie USA odstąpił swój okręg wyborczy w Miami swemu młodszemu bratu. Po roku 1959 nigdy nie był na Kubie. „Embargo ma trwać, dopóki reżim nie wypuści wszystkich więźniów politycznych i nie dopuści do wyborów innych partii politycznych poza komunistyczną”. Uważa on, że obecne reformy Raula Castro to tylko dekoracja na użytek naiwnych na Zachodzie, która de facto ma mu tylko pozwolić dokręcić śrubę.

W ciągu półwiecza swego obowiązywania embargo przechodziło różne koleje losu, w tym także zmiany taktyczne. Jimmy Carter nawiązał nawet z Kubą częściowe stosunki dyplomatyczne. Bill Clinton zliberalizował przepisy wyjazdowe, umożliwiając m.in. masową turystykę medyczną na Kubę. Kiedy jednak niezadowoleni emigranci kubańscy rozpoczęli prowokacyjne loty małymi samolotami nad Kubę i Kubańczycy zestrzelili dwa z nich nad wodami międzynarodowymi zabijając 4 osoby załogi, Kongres amerykański wprowadził w 1996 tzw. poprawkę Helmsa-Burtona, która rozszerzyła embargo na obce firmy handlujące z Kuba, zobowiązała administrację do wetowania prób wejścia Kuby do MFW, a przede wszystkim pozbawiła prezydenta prawa zniesienia embarga bez zgody Kongresu i to pod warunkiem, że obaj bracia Castro odejdą od władzy, a na wyspie przeprowadzone zostaną wolne wybory.

Prezydent George W. Bush (ten głupszy) próbował dodatkowo

zwiększyć presję na Hawanę zakazując podróży i przekazów pieniężnych na wyspę, oraz nakazując misji amerykańskiej w Hawanie (US Interest Section), aby zwiększyła pomoc dla dysydentów. Dało to Fidelowi okazję, aby oskarżyć ich o płatną współpracę z wrogiem i powsadzać do więzień. Dziś prezydent Obama powrócił do wcześniejszej taktyki Cartera i Clintona. Zniósł ograniczenia podróży i przekazów pieniężnych. Każdy Amerykanin może teraz przekazać na Kubę do 2000 dolarów dotacji rocznie. Zwiększyła się także liczba lotów na Kubę dla grup religijnych i oświatowych. Amerykański Departament Stanu rozpoczął regularne rozmowy z oficjelami kubańskimi. Nie widać jednak woli dalszego otwierania się po żadnej ze stron. W roku 2009 Raul mianował ministrem spraw zagranicznych Bruno Rodrigueza zawziętego twardogłowca i wroga USA. Blokada trwa już zresztą tak długo, że obie strony do niej przywykły.

Po stronie Kuby koszty embargo są bez wątpienia ogromne: znacznie droższe opłaty frachtowe za daleki transport towarów importowanych, niedobory leków i części zamiennych, zmniejszone dochody z turystyki itp. Jednakże zysk polityczny wydaje się je przewyższać. Pozwala to bowiem reżimowi utrzymywać na wyspie atmosferę obłączonej twierdzy otoczonej przez nieprzejednanego i odwiecznego wroga. A to pomaga rządzić w warunkach chronicznej mizerności, niedoborów i wyrzeczeń.

W praktyce współpraca Stanów i Kuby przebiega jednak całkiem gładko w takich dziedzinach jak monitorowanie huraganów, straż wybrzeży, zwalczanie przemytu narkotyków, albo patrolowanie granicy bazy morskiej w Guantanamo. W praktyce także i przeciek handlu jest całkiem pokaźny. Przez ostatnie kilka lat średnio Kuba kupuje ze Stanów choćby tylko żywność za około 960 milionów dolarów rocznie, tyle że omijając banki i płacąc gotówką.

Polityka prezydenta Obamy jest odpowiedzią na zmiany jakie zaszły w społeczności kubańskiej na Florydzie. Spośród 1,2 mln zamieszkałych tam Kubańczyków prawie 400 000 przybyło tam po

roku 1980, głównie z powodów ekonomicznych. Należą oni nadal do „narodu wyspowego” i utrzymują żywe kontakty ze swymi rodzinami na Kubie. Prawie każdy pasażer w kolejce do jednego z ośmiu codziennych lotów z Miami do Hawany ma dwie albo trzy wielkie torby pełne podarków dla krewnych i towarów na handel. To prawdziwa kroplówka dla niewydolnej gospodarczo wyspy. Raul Castro cieszy się z tego tak bardzo, że nawet zalecił ostatnio aby unikać nazywania tych z Florydy gusanos, co jak widać musi mieć swoje szczególne znaczenie kulturowo-lingwistyczne, dla obcych trudno wyczuwalne.

Carlos Saladrigas, kubański biznesmen z Miami, który obsługuje część tego „handlu przygranicznego” uważa że Waszyngton mógłby pójść dalej w znoszeniu embarga. Używa argumentu biznesmena: „Jeśli coś nie przynosi efektu przez 53 lata, to znaczy, że dawno już trzeba to zmienić”. W roku 2001 razem z kilkoma innymi kubańskimi przedsiębiorcami założył Cuba Study Group, która gromadzi argumenty na rzecz zniesienia embarga z zamiarem przedstawienia ich rządowi USA. Podobne działania podjęła organizacja Roots of Hope („Korzenie nadziei”), która zrzesza amerykańskich studentów kubańskiego pochodzenia. Chcą oni wzmocnić proces usamodzielnienia się wśród młodzieży na Kubie. Tony Jimenez, jeden z założycieli, rozpoczął akcje zbierania używanych telefonów komórkowych w USA, które następnie są rozdawane na Kubie.

Mimo widocznej ewolucji wewnątrz społeczności kubańskiej w USA zmiany są powolne. Głównie wynika to z faktu, że starsza generacja emigrantów kubańskich to jedna z najbardziej zdyscyplinowanych kategorii wyborców w USA. Głosują wszyscy i bez pudła, zawsze mając na oku wpływ tego głosowania na sytuację na wyspie. Ich dzieci oraz młodsza emigracja głosują dużo mniej chętnie i mniej przejmują się losem wyspy.

Nadal jednak potrzeba odwagi, aby w Miami opowiadać się otwarcie za zniesieniem embarga. Znane są wypadki, że ludzie tracili w Miami pracę lub musieli zamykać sklepy wskutek bojkotu. Dziś w samym centrum Miami na Calle Ocho, pani Neli

Santamaria, zaczęła organizować w swej kawiarence otwarte dyskusje nt. sytuacji na Kubie. Jeszcze 10-15 lat temu, jak sama twierdzi, bałaby się podłożenia bomby. Dziś tylko wymyślają jej w internecie. Również kilku znanych biznesmenów kubańskich oświadczyło publicznie, że gdyby zniesiono embargo zainwestowaliby na Kubie. Wydaje się, że wyścig w tym kierunku już się rozpoczął. Dla obserwatora z zewnątrz wygląda to jednak tak, jakby brały w nim udział dwa żółwie – Cubano i Gusano, z których żaden nie oddalił się jeszcze przekonująco od linii startu.

GDY FIDELA ZABRAKNIE

Dokąd popłynie wyspa, gdy skończy się tam socjalizm? A może wcale się nie skończy?

Kolonią Hiszpanii Kuba została najwcześniej i była nią najdłużej. Odkryta już w pierwszej podróży Kolumba 28 października 1492 roku, szybko stała się główną bazą administracyjną i wypadową dla dalszych wypraw kolonizacyjnych i dla przerzutu łupów z całej Ameryki łacińskiej do Hiszpanii. Zależność od Hiszpanii Kuba zamieniła na zależność od USA w roku 1898. Po czterech wiekach hiszpańskiego panowania Isla siempre fidel (wyspa zawsze wierna), jak ją nazywano, do dziś jest skarbnicą pamiątek i zabytków z tamtego okresu, których szczególnie wiele można oglądać w Starej Hawanie.

Demontaż imperium katolickiej Hiszpanii został przeprowadzony przez masonerię we wszystkich koloniach niemal jednocześnie i miał charakter pożaru. Wszystkie powstałe wtedy państwa przyjęły ustrój i konstytucje na jedno kopyto, wzorowane na masońskim przykładzie Stanów Zjednoczonych. Większość z tych państw i rządów do dziś pozostaje pod ścisłą kontrolą tradycyjnej masonerii, a w myśl doktryny Monroe'go także i pod kontrolą USA. Istnieją poważne przypuszczenia, że przynajmniej w pewnym okresie do masonerii należał także Fidel Castro.

Jadąc z centrum Hawany od Plaza de San Francisco na zachód

jedzie się aleją świadków kolonialnej historii wyspy. Po prawej stronie mija się słynne nabrzeże zwane Malecón, czyli niski a gruby murek okalający stary port zamykany ongiś łańcuchem na noc przeciąganym przez specjalny stateczek pomiędzy dwiema twierdzami u wejścia do kolistej zatoki. W czasach Batisty była tam słynna marina dla najbardziej luksusowych jachtów z całego regionu Karaibów, oczywiście w większości amerykańskich. Tu okres I (hiszpański) spotyka się z okresem II (amerykańskim) historii wyspy. Po lewej mija się sypiące się fasady dawnych gmachów, zza których widać kopułę starego Capitolio, czyli wiernej kopii budynku Kapitolu z Waszyngtonu D.C. Nie tylko nam w Warszawie zbudowano Pałac Kultury...

Dalej na zachód jest Miramar, dzielnica ambasad, w tym b. ZSRR, który po 1959 roku wyparł USA z roli hegemon na Kubie i zaciążył nad III okresem historii wyspy, który właśnie dobiega końca. Brytyjski historyk Hugh Thomas napisał w 2001 roku, że po upadku ZSRR niezależna i dumna Kuba nareszcie jest dziś zupełnie na swoim. To niezupełnie jest tak. Ten III okres na Kubie jeszcze trwa. Siboney, gdzie Fidel ma swą rezydencję i Miramar, dzielnica ambasad, dwie zachodnie dzielnice Hawany, to symbol dumy, ambicji i rozmachu z okresu triumfującego socjalizmu. Romantyk Fidel zawsze patrzył na świat (pragmatyk Raul patrzy tylko na Kubę) czego efektem jest 181 ambasad jakie Kuba ma do dziś w różnych krajach. Problem w tym, że nie ma już wśród nich sponsorów. Wenezueli i jej taniej ropy naftowej starczy dla Kuby tylko dopóki żyje i panuje tam Hugo Chavez.

Czy Kubę może uratować własna ropa lub gaz? Na linii horyzontu, w morzu naprzeciw Miramar w końcu stycznia br. stanął Scarabeo 9, imponująca pełnomorska platforma wiertnicza, doholowana tu z Azji (bo embargo) w celu rozpoznania czy pod dnem kubańskich wód terytorialnych znajduje się ropa w komercyjnych ilościach. Właścicielem platformy i koncesjonariuszem wierceń jest hiszpańska firma

Repsol, ta sama, którą ostatnio z innych pól naftowych przegoniła prezydent Argentyny pani Cristina Fernandez de Kirchner. Jeszcze w tym roku ma się okazać, czy ropy jest dużo czy nie. Ale nawet jeśli jest, będzie to ropa droga i trudna do wydobycia, a zważywszy, że wiercenia byłyby prowadzone na słynnej trasie huraganów, wydobycie będzie wiązało się z poważnymi niebezpieczeństwami, nie tylko dla środowiska.

Niecałą godzinę drogi dalej na zachód nad wygodną zatoką leży Mariel, niewielkie prowincjonalne miasteczko pełne riksów rowerowych, które przy chronicznym braku paliwa pełnią na Kubie rolę ważnego środka lokalnego transportu. Tak przynajmniej było parę lat temu kiedy tam byłem. Ciężka nad nim wtedy klątwa i niełaska hawańskich władz, bo to właśnie stamtąd w 1980 roku wypłynęła flotylla kutrów, łodzi, tratw i wszystkiego, co wtedy pływało unosząc 125 000 uciekinierów na Florydę. Przy dobrej pogodzie jest to zresztą najlepsze miejsce, z którego biorąc poprawkę na silny prąd zatokowy da się najłatwiej dotrzeć do Key West i wód terytorialnych USA. Startując z punktu bardziej na wschód już można być wyniesionym na pełny ocean, a startując z punktu położonego bardziej na zachód, jest się dłużej w polu patrołowania przez kubańską straż wybrzeża. Dlatego tu zawsze przyglądano się przybyszom najuważniej.

Właśnie w Mariel brazylijska firma Odebrecht buduje dziś największy na wyspie port transoceaniczny i terminal kontenerowy, którym zarządzać ma azjatycka firma Singapore Ports, a który będzie w stanie przyjmować największe statki świata, jakie wkrótce zaczną przepływać z Azji przez właśnie poszerzany i pogłębiany Kanał Panamski. Dokoła powstanie specjalna strefa gospodarcza pełna fabryk produkujących na eksport. Brazylijski Banco Nacional do Desenvolvimento Economico e Social (BDNES) wyłożył na tę infrastrukturę 975 mln dolarów. Portowy Mariel ma szansę stać się najważniejszym na Kubie centrum przyszłego kapitalizmu.

Brazylia jest w ogóle jednym z najważniejszych partnerów

gospodarczych Kuby. Kiedy prezydenturę wygrał tam Ignacio Lula, b. szef związków zawodowych, Kubie wydawało się, że na kontynencie wyrasta nowa, lewicowa oś latynoska, która „ruszy bryłę świata”: Hugo Chavez w Wenezueli, Daniel Ortega w Nikaragui, Evo Morales w Boliwii, Rafael Correa w Ekwadorze, a potem Ollanta Humala w Peru i Cristina Kirchner w Argentynie – zanosilo się na nowy front ideowy, dla którego Kuba mogłaby być inspiracją i z którego mogłaby skorzystać gospodarczo. Nic z tego nie wyszło. Lula okazał się najbardziej dotąd udanym prezydentem Brazylii, pragmatykiem i ojcem brazylijskiego cudu gospodarczego, a wyznaczona przez niego następczyni – Dilma Rousseff, to też kobitka trzeźwa i umiejąca liczyć. W lutym br. odwiedziła ona Kubę i była bardzo uprzejma: o polityce nie gadała, z dysydentami się nie spotykała, chętnie za to obejrzała plac budowy w Mariel i brała udział w spotkaniach brazylijskiej misji gospodarczej, która na Kubie chce inwestować na warunkach rynkowych, podobnie jak to robią już obecni tam Chińczycy, Hiszpanie i Kanadyjczycy.

Dla obecnych reform Raula Castro i dla jakiejś formy kapitalizmu na Kubie nie ma rozsądnej ani oczywistej alternatywy. Jednakże paternalizm państwa rodzi infantylizm społeczeństwa i Kuba jest już dzisiaj wymownym tego przykładem. Wydaje się, że większość Kubańczyków nie poradzi sobie w ustroju drapieżnego kapitalizmu i w miarę jak będzie ubywać opieki państwa, rosnać będzie społeczny opór i – paradoksalnie – poparcie dla twardogłowych obrońców realnego socjalizmu. Już teraz jest ono na tyle silne, że ustrój nie musi obawiać się obalenia, ale braci Castro nie starczy już na długo i wkrótce da o sobie znać tzw. czynnik biologiczny. Fidel ma 86 lat a Raul 81. Po ludzku licząc od wielkiej zmiany dzieli Kubę najwyżej 5 lat. Kto go zastąpi i jak zapanuje nad Kubańczykami w trudnym okresie przejściowym? Fidela się bano, Raula znacznie mniej, jego następcy już chyba nikt się nie ulęknie.

Część obserwatorów, jak kilkakrotnie tu przywoływany Antonio

Jose Ponte z Madrytu, obawia się pokusy rządów dynastycznych. Fidel, którego na Kubie przezywano „El Caballo” (dosłownie: koń, choć mogło raczej znaczyć ‘ogier’, bo kiedy się zestarzał już się go tak nie nazywa) był seksoholikiem, który miał sześciu synów z dwóch żon, oraz dwie córki i syna z trzech związków pozamałżeńskich. Jednakże własnych dzieci starał się nie dopuszczać do spraw publicznych. Jego najstarszy syn Fidelito krótko sprawował urząd przewodniczącego kubańskiej komisji energii atomowej, ale gdy tylko ojciec zauważył, że woda sodowa uderza mu do głowy, zaraz go z tego stanowiska szurnął i odtąd już żadne z dzieci nie dostało poważniejszej funkcji ani nawet wsparcia. Dwie córki Fidela mieszkają zresztą w USA, podobnie jak jego rodzona siostra, i wszystkie wypowiadają się o nim bardzo krytycznie jako o człowieku, który nie umiał utrzymać żadnego stałego związku z kobietą. Na Kubie stosunek Fidela do jego własnych dzieci jest jednak raczej uważany za dowód jego pryncypialnej uczciwości. Jego seksualny wigor był tam zresztą w swoim czasie przedmiotem podziwu i mitu, dopóki pewne zdjęcie nie ujawniło, że ma cienkie patykowate nogi, co na Kubie uchodzi za antytezę sex-appealu.

Raul także pod tym względem różni się od swego brata. Miał tylko jedną żonę, a z nią trzy córki i syna: Deborę, Marielę, Nilkę i Alejandro. Chyba nie był kobieciarzem jak Fidel i nic nie wiadomo, aby miał jakieś potomstwo na boku. Jedna z jego córek, Nilka, mieszka we Włoszech, o Marieli – patronce zboczeń – już pisałem w poprzednim odcinku, syn Alejandro (wojskowy) jest jego doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego, a zięć (mąż Debory), też wojskowy, płk Luis Alberto Rodriguez, kieruje agencją mienia wojskowego. Są więc dobrze zamocowani u władzy i mają za sobą praktykę na dobry początek, ale żadne z trojga nie jest nawet członkiem Komitetu Centralnego partii, nie mówiąc o Biurze Politycznym. Dużo większe szanse na sukcesję po Raulu ma zatem ktoś z młodszych wiekiem sekretarzy prowincjonalnych komitetów PCC, jak Mercedes Lopez Acea albo Miguel Diaz Canel, o których pisałem wyżej.

W jakim kierunku mieliby oni Kubę dalej poprowadzić? Reformiści najczęściej mówią: socjalizm rynkowy, i wskazują na przykłady Chin albo Wietnamu, ale lepiej rozeznanii twierdzą, że to niemożliwe i wskazują na wielkie różnice kulturowe i geograficzne dla tego modelu. Kuba jest obecnie słabnącą częścią rosnącej w siłę Ameryki Łacińskiej i raczej w niej szukać będzie wzorów dla siebie. A jest już co naśladować. Mała i bezbronna Kostaryka (jedyne państwo, które konstytucyjnie zakazało sobie armii) zwabiła do siebie sporo firm z najbardziej wyrafinowanych sektorów hi-tech. Niewiele większa Panama, to dynamiczny kraj taniej bandery i niskich podatków wykorzystujący swe położenie na przesmyku i wabiący wielki biznes z całego świata. Brazylia to już gospodarczy gigant i wzorcowa socjaldemokracja na zachodniej półkuli. Ale Kuba również ma kilka atutów w rękę: bliskość USA, wykształcone społeczeństwo i sporą diasporę.

Najważniejsze pytanie na dziś, to jak w tym wszystkim zmieści się kubańska partia komunistyczna. Jorge Dominguez, kubański politolog z Harvardu już 20 lat temu wysunął tezę, że PCC będzie ewoluować w stronę modelu meksykańskiego. Zainstalowana w Meksyku w 1929 roku przez masonerię Partia Rewolucyjno-Instytucjonalna (sic!) rządziła tym krajem przez 71 lat bez przerwy, a nawet obecnie szykuje się jej triumfalny powrót do władzy w najbliższych wyborach z programem „umiarkowanego postępu w granicach prawa”. Jest zupełnie możliwe, że PCC też zbuduje sobie na Kubie lojalną opozycję z towarzyszy oddelegowanych do pozornie autonomicznych partii, bez trudu będzie z nimi wygrywać wybory tak jak PRI w Meksyku i w ten sposób zamknie gębę krytykom z Miami, na których przecież na wyspie i tak nikt nie czeka. Chyba, że wszystko się rypnie i pograży w chaosie nie do opanowania, a wtedy, jak twierdzi zaprzyjaźniona obserwatorka, na końcu pojawią się jacyś Żydzi i po prostu wezmą całą wyspę za symboliczne jedno peso.

Autor: Bogusław Jeznach

Źródło: [Nowy Ekran](#)